



JAK MĄDRZE ZADBAĆ O SWOJEGO PSA I KOTA?

LEK. WET. MAGDA FIRLEJ-OLIWA



JAK MĄDRZE ZADBAĆ O SWOJEGO PSA I KOTA?

LEK. WET. MAGDA FIRLEJ-OLIWA

JAK MĄDRZE ZADBAĆ O SWOJEGO PSA I KOTA?



OTWARTE
KRAKÓW 2021

ROZDZIAŁ 4



**PORADY WETERYNARYJNE
DOKTORA GOOGLE'A
I CIOCI Z FORUM**



Myślę, że ten rozdział powinien znaleźć się na końcu książki, bo nie jest wykluczone, że część czytelników po tym, co tu przeczyta, odłoży tę książkę na półkę (ewentualnie spali w piecu), a następnie podzieli się na jej temat niepochlebnią opinią w internecie.

Kiedyś jeden z portali o tematyce weterynaryjnej poprosił mnie o wypowiedź w kwestii tego, dlaczego ludzie, zamiast zasięgnąć porady specjalisty (chodziło oczywiście o lekarzy weterynarii), szukają odpowiedzi na swoje pytania na forum lub w grupach tematycznych. Zaczęłam się nad tym bardzo intensywnie zastanawiać, ponieważ nie chciałam posyłać w sieć od dawien dawna funkcjonujących już truizmów. Niestety, po kilkudziesięciu minutach spędzonych nad klawiaturą nie wymyśliłam nic odkrywczego. Nie minę się więc z prawdą, pisząc, że są dwa główne powody, dla których ludzie chcą leczyć swoje zwierzaki w sieci:

- brak pieniędzy (lub niechęć do ich wydania na opiekę lekarską),
- brak zaufania do lekarza.

Odkryłam jednak jedną rzecz, która, nie ukrywam, nieco mnie przerażała. Ten problem nie dotyczy tylko zwierząt i medycyny weterynaryjnej. Dotyczy również dzieci i dorosłych ludzi, i ogólnie pojętej medycyny ludzkiej! Wystarczy wejść na fora czy grupy facebookowe skupione wokół tematów rodzicielstwa lub grupy wsparcia dla ludzi chorujących na konkretną jednostkę chorobową. To, co można tam znaleźć, niejednokrotnie przekracza wszelkie normy, również prawne. Kiedyś skrajnie altmedowe zabobony oraz magia w medycynie mnie bawiły. Zmieniło się to tego dnia, gdy obejrzałam na YouTube wystąpienie Janiny Bąk, funkcjonującej w sieci jako Janina Daily. Podczas jednego z jej przemówień dotyczących statystyk, badań naukowych i błędów, jakie w tych badaniach można popełnić, Janina wyświetliła na slajdzie kuriozalny cytat z forum parentingowego: „Wysoka gorączka oznacza [rzucony] zły urok. Pomoże przetrucie czoła dziecka zużytymi majtkami”¹⁵. Komentarz Janiny był dla mnie otrzeźwiający. Parafrazując: być może nas to bawi, ale popatrzmy na to z innej strony – gdzieś tam jest dziecko z wysoką gorączką, które nie otrzymuje pomocy. I od tamtej pory tak właśnie odczytuję wszelkie posty w sieci

¹⁵ J. Bąk, *Czy naukowcy są jak żony i nigdy się nie mylą?*, [w:] <https://bit.ly/2HVdyfK>, dostęp 8.09.2020.

proszące o pomoc. Tam właśnie teraz jest cierpiące zwierzę, które nie otrzymuje pomocy...

Ale wracając do tematu... Odnosząc się do pierwszego powodu, muszę przyznać, że sprawa zaczyna się dużo wcześniej niż choroba zwierzęcia. Ogromna część obecnych opiekunów zwierząt decyduje się na ich adopcję/zakup, zakładając, że zwierzę będzie całe życie zdrowe. Poziomu absurdu takiego założenia chyba nie muszę nikomu uświadamiać. To jak założyć, że samochód przez cały okres użytkowania nie będzie się psuł. Zdarza się czasem, że przyszli opiekunowie w ogóle nie mają refleksji na temat tego, że ZWIERZĘTA CHORUJĄ tak jak ludzie, że nie ma czegoś takiego jak ZWIERZĘCY NFZ, a ewentualna opieka weterynaryjna pod względem zarówno jakości, jak i kosztów jest porównywalna z całkowicie prywatną opieką medyczną dla ludzi. Część osób wciąż hołduje staremu polskiemu porzekadłu „jakoś to będzie” lub stwierdza: „Wylize się”. W sytuacji choroby zwierzęcia co zatem robimy? Włączamy darmowego (lub prawie darmowego) wujka Google’a, szukamy grup tematycznych na Facebooku i pytamy: czy ktoś miał u swojego zwierzaka podobne objawy? I tu zgłasza się rzesza ludzi, których zwierzęta rzeczywiście miały podobne objawy. Miały na przykład biegunkę lub wymioty. Wzdęcie. Zmianę na skórze. Krwiomocz. Szukamy kogoś, kto nas zapewni, że objaw u naszego zwierzaka to nic poważnego, nie wymaga pilnej konsultacji, a co za tym idzie – nie będziemy musieli płacić za wizytę. A prawda jest taka, że dyskusja toczy się zazwyczaj o objawach bardzo mało specyficznych. Pacjentów

z biegunką przyjmujemy kilku dziennie. Zmiany skórne to również częsty powód konsultacji. Jaki jest zatem problem?

Pierwszym problemem jest to, że niektóre sytuacje wymagają konsultacji lekarskiej „na już”. I może się okazać, że czas spędzony nad klawiaturą to cenne minuty, które decydują o życiu zwierzęcia. A człowiek będący po drugiej stronie monitora nie jest w stanie określić, jak poważny jest stan pacjenta. Lekarz potrafi. W gabinecie. Po badaniu. Bo krwimocz może oznaczać, że twoje zwierzę jest w stanie zagrożenia życia i tak kochana przez wszystkich forumowiczów furagina tutaj nie pomoże. Czytałam kiedyś post, że pies pewnej pani zjadł potłuczone szkło, na którym wcześniej było mięso, a pani, zamiast w trybie pilnym udać się z psem do specjalisty, zasiadła do komputera, pytając ludzi o to, co może być powodem takiego zachowania. Jak to się skończyło? Niestety, nie wiem, mogę się jedynie domyślać, że było nerwowo. Potłuczony talerz może przecież zrobić z przetyku i żołądka sieczkę, przedziurawić go i spowodować śmierć. Najpierw trzeba psa uchronić przed takim właśnie ciągiem wydarzeń, a nie zastanawiać się, prowadząc dyskusje na forum, nad powodem, dla którego pies zachował się w ten, a nie inny sposób.

Jedną z pierwszych relacji na moim koncie na Instagramie, jaką zrobiłam, była relacja o tym, dlaczego NIE DIAGNOZUJĘ pacjentów przez internet. Bo prawda jest taka, że im większy masz zasięg, im więcej ludzi cię czyta, tym więcej w skrzynce łąduje takich próśb. Zarówno u mnie, jak i u pozostałych lekarzy prowadzących działalność edukacyjną w sieci. Ludzie wysyłają badania krwi, zdjęcia RTG,

skany USG, opisy wizyt i proszą o konsultację. Codziennie. Na początku odpowiadałam na te wiadomości, pisząc, że dziękuję za zaufanie, ale nie konsultuję pacjentów online. Dziś już nie odpisuję – to jedna z zasad na moim profilu. W obliczu tych wszystkich próśb zaczęłam się zastanawiać, w jakiej formie zrobić tę relację (na koncie było wtedy kilkuset obserwujących), tak aby już ona sama dała ludziom do myślenia. I wymyśliłam. Zrobiłam quiz. Umówiłam się z obserwatorami, że opiszę im kilka objawów klinicznych i do objawów podam trzy lub cztery choroby, a ich zadaniem będzie wybrać tę chorobę, w której dany objaw występuje. Wyglądało to mniej więcej tak:

Czerwony mocz u psa może występować przy:

1. babeszjozie,
2. kamicy pęcherza moczowego,
3. nowotworze nerki.

Wcale mnie nie zdziwiło, gdy się okazało, że ludzie wybierali każdą z odpowiedzi mniej więcej z taką samą częstotliwością. Pytań było jeszcze kilka, między innymi:

W którym z poniższych stanów chorobowych może pojawić się objaw, że pies nagle przestaje chodzić na tylne łapy:

1. zwyrodnienie kręgosłupa,
2. zatorowość,
3. anaplazmoza,
4. krwawiący guz śledziony.

I znowu to samo. Ludzie ponownie głosowali na każdą z odpowiedzi. Kto z nich miał rację? Wszyscy. Dlaczego? Dlatego że przy wszystkich tych chorobach objaw taki może wystąpić. Zadaniem lekarza w gabinecie jest zebrać wywiad (czyli przeprowadzić z opiekunem obszerną rozmowę na temat okoliczności choroby), zwierzę zbadać, zalecić i wykonać badania dodatkowe, takie jak badania krwi czy badania obrazowe, a następnie na podstawie tych wszystkich zebranych informacji WYKLUCZYĆ CZĘŚĆ CHORÓB I ZDIAGNOZOWAĆ, co temu konkretnemu zwierzęciu dolega. To nie jest tak, że ktoś mi napisze: „Ej, słuchaj, mój kot nie je od tygodnia, co to może być?”, a ja od razu wiem, że ma taką i taką chorobę. W mojej głowie, owszem, zaczyna się tworzyć lista chorób, które należy wykluczyć lub potwierdzić, niemniej to zawsze jest przynajmniej kilka chorób! Niejednokrotnie kompletnie się od siebie różniących i wymagających zupełnie innego leczenia.

Ta relacja miała uświadomić ludziom, jak bardzo ryzykują, rezygnując z wizyty u lekarza na rzecz konsultacji w sieci. Nie wiem, czy komuś dała do myślenia, mam nadzieję, że tak. Jakie wnioski chciałabym, żebyście wyciągnęli? Wiele zupełnie różnych chorób może dawać takie same objawy. Leki pomagające na jedną z nich mogą pogarszać stan organizmu przy tej drugiej, mimo że objawy są podobne lub takie same. Dlatego my, lekarze, robimy badania, a nie leczymy w ciemno. A badania kosztują. Wizyty kosztują. Nasza wiedza i doświadczenie kosztują. Weterynaria to nasza praca. Nie możemy i nie chcemy pracować za darmo.

Ktoś, kto nie zarabia na swojej pracy, nie może się szkolić na bieżąco, ponieważ go nie stać. Chciałbyś leczyć się u lekarza, który się nie doszkala? Chciałbyś leczyć swoje zwierzę u takiego kogoś? Sam sobie odpowiedz.

Ludzie wolą internet od lekarza, bo osoba po drugiej stronie monitora namiętnie śledząca porady weterynaryjne na Facebooku nie wystawi po poradzie rachunku. I to niejednokrotnie wystarczy, aby się na taką wątpliwej jakości poradę zdecydować.

Tu dochodzimy do momentu, w którym muszę poruszyć temat najbardziej chyba kontrowersyjny dla obu stron „sporu”.

Bardzo często na wszelkiego rodzaju grupach zrzeszających miłośników zwierząt padają hasła, że „mój lekarz nie bierze pieniędzy za leczenie, bo jest lekarzem z powołania”, „bierze za same leki, nie bierze za wizytę, bo jest lekarzem z powołania” i wiele podobnych. Według tych głosów brak zarobku lekarza z własnej pracy staje się wyznacznikiem tego, czy jest dobrym, czy złym lekarzem. I jest to, niestety, bardzo krzywdząca ocena. Piszę tutaj o tym dlatego, że w końcu człowiek, który biorąc zwierzę, myśli: „Jakoś to będzie”, trafia do gabinetu lekarskiego. I okazuje się, że to „jakoś to będzie” zamienia się w ogromny lament, złość i frustrację, ponieważ zwierzę, które miało nie chorować, nagle choruje. Choroba zaś wymaga diagnozy i leczenia. A tego nie da się zrobić za darmo. I ta frustracja najczęściej, niestety, jest wyładowywana na lekarzu. Czy jeżeli nie stać mnie na paliwo do ferrari, to kupuję ferrari? Nie. Dlaczego

więc jeśli nie stać mnie na porządną opiekę medyczną dla mojego zwierzęcia, biorę to zwierzę do domu? Dlaczego odpowiedzialność zrzucam na kogoś innego? Czym innym bowiem, jak nie zrzuceniem odpowiedzialności jest wymaganie od lekarza, aby leczył za darmo, ponieważ mnie nie stać, a zwierzę wymaga pomocy. I uwierzcie mi, takie sytuacje są bardzo częste. Przecież lekarz weterynarii to zawód zaufania publicznego. Na studia weterynaryjne się idzie, bo kocha się zwierzęta i chce się im pomagać, a nie zarabiać na nich. Wielu lekarzy pomaga tyle, ile jest w stanie. Część z nich pracuje w fundacjach. Wielu dla fundacji pracuje za półdarmo. Organizujemy zbiórki. Wystawiamy puszkę na datki. Zbieramy z ulicy bezdomniaki i leczymy je za własne pieniądze (nie przesłyszałeś się!). Ale jeśli to robimy, to dlatego, że taka jest nasza dobra wola i chęć – i nie jest złym lekarzem ktoś, kto tego nie robi. Bo nie musi. Bo nie na tym polega zawód lekarza weterynarii. Czy pediatrzy opiekują się dziećmi, których nikt nie chce? Lub czy przygarniają te pozostawione bez opieki na ulicy? Czy leczą je za darmo? Czy zapewniają im godziwe warunki w swoich placówkach medycznych do czasu, gdy nie znajdzie się rodzina chętna do adopcji? Brzmi to absurdalnie, czemu więc wymaga się tego od lekarzy weterynarii? I wiem, że część z was może uznać to za jęczenie i narzekanie, ale piszę to w konkretnym celu, w tym miejscu dochodząc do konkluzji.

Posiadanie zwierzęcia nie jest obowiązkiem. Jest pewnego rodzaju luksusem. Jeśli cię na to nie stać, to się na nie nie decyduj. A jeżeli się decydujesz, to bierz na SIEBIE

wszelkie konsekwencje tej decyzji. Wiem, że jest spore grono osób, chociażby starszych, którzy mają w domu zwierzaka i często jest to jedyna istota towarzysząca tym ludziom w życiu. I te zwierzęta także chorują, a emeryci czy renciści – wiadomo, kokosów w naszym kraju nie dostają. Takich ludzi można odesłać po pomoc do fundacji czy stowarzyszeń pomagających zwierzętom. Jest naprawdę wiele różnych rozwiązań.

Pamiętam, jak pewnego razu środowisko weterynaryjne obiegła informacja o tym, że jedna z telewizji śniadaniowych poprowadzi tego dnia krótką rozmowę na temat: „Dlaczego usługi weterynaryjne są tak drogie?”. Nie: „CZY usługi weterynaryjne są drogie?”. Oglądałam ten materiał z pewnym zażenowaniem, ponieważ właściwie nie była to rozmowa, ale obrona lekarza weterynarii obecnego w studio (świetnego specjalisty w swojej dziedzinie) przed werbalnymi atakami prowadzących. Później część lekarzy zastanawiała się, czy nie była to przypadkiem rozmowa sponsorowana przez jedną z firm rozkręcających na rynku biznes ubezpieczeń dla zwierząt. Na zasadzie „usługi są tak drogie, ale jak ubezpieczysz swojego zwierzaka, to będzie dużo taniej”. Jeszcze przed emisją materiału na *fanpage’u* facebookowym tej telewizji rozgorzała dyskusja, w której większość komentarzy w dość niewybrednych słowach określała lekarzy weterynarii jako naciągaczy i złodziei. Zastanawiałam się, co można zrobić, aby uświadomić ludzi w kwestii kosztów pracy w weterynarii, i postanowiłam, że wbrew zasadzie „o pieniądzach się nie rozmawia” poopowiadam ludziom obserwującym

mój profil, z jakimi kwotami trzeba się liczyć, prowadząc działalność taką jak przychodnia weterynaryjna. Ludzie, którzy na Instagramie czytają moje posty i oglądają moje relacje, to w większości ludzie bardzo świadomi. Ludzie znający swoje zwierzęta, ich wymagania, dbający o ich profilaktykę. Nieoszczędzający na ich zdrowiu... I nawet oni byli zszokowani i zaskoczeni, gdy opowiadałam o setkach tysięcy złotych potrzebnych na otwarcie i utrzymanie takiej działalności. O szkoleniu się już nie wspomnę. A nawet człowiek z największym powołaniem nie będzie dokładał prywatnych pieniędzy do działalności, którą prowadzi.

Co do braku zaufania wobec lekarza sprawa wcale nie jest prostsza. Z przykrością muszę zauważyć, że zawód lekarza weterynarii przeżywa ostatnio ogromny kryzys wizerunkowy. Ludzie nie ufają lekarzom, ale rozważania na temat tego, dlaczego tak jest, pozostawię innym autorom. Niemniej regularnie spotykam na grupach internetowych ludzi, którzy konsultują zalecenia lekarskie z grupowiczami na forum. Czyli pytają ludzi, którzy prawdopodobnie z medycyną nie mają nic wspólnego, czy to, co powiedział lekarz, jest prawdą, czy nieprawdą, czy jest potrzebne, czy niepotrzebne. I tu dochodzimy do aspektu, który właściwie powinienam poruszyć na początku, a mianowicie...

NIGDY NIE WIESZ, KTO SIEDZI PO DRUGIEJ STRONIE MONITORA! Skąd wiesz, jakie są kompetencje osoby, która odpowiada na twoje pytanie? Czy ta osoba ma chociaż niewielkie pojęcie o medycynie, czy też swoją poradę kopiuje z zaleceń lekarza, który leczył jej zwierzę z podobnym

objawem? Kolega po fachu kiedyś opowiadał, jak przyszło mu na dyżurze przyjmować psa dużej rasy (to chyba był owczarek niemiecki), którego opiekunka postanowiła poszukać informacji w sieci, zamiast udać się z psem do lekarza. Niestety, pani ta poszła o krok dalej i postanowiła nie tylko zapytać w sieci o to, czy ma się martwić, ale także zastosować się do zaleceń osoby, która jej odpisała. I jak potoczyła się ta historia? Ktoś z forumowiczów polecił podać psu espumisan, ponieważ powiększony obrys brzucha, który u tego psa się pojawił, to na pewno zwykłe wzdęcie. Kilka litrów espumisanu później pies zjawił się na dyżurze, gdyż mimo podania leków, sytuacja była coraz gorsza i jego stan się pogarszał. I co? I okazało się, że pies miał rozszerzenie i skręt żołądka. Chorobę, która wymaga natychmiastowej interwencji chirurgicznej, w przeciwnym razie dochodzi do martwicy żołądka i śmierci zwierzęcia. Tak właśnie skończył pies z powyższej historii, gdyż za późno było już na jakiegokolwiek interwencje. I kto powinien wziąć odpowiedzialność za to, co się wydarzyło? To jest pytanie, które, jak przypuszczam, będzie właścicielkę psa gnębiło prawdopodobnie do końca życia.

Innym przykładem są wszechobecne problemy okulistyczne. Czasami, gdy czytam niektóre posty z porad weterynaryjnych, odnoszę wrażenie, że w świadomości osób tam funkcjonujących istnieją tylko jedne krople do oczu. Krople, z którymi ja sama mam bardzo nieciekawe doświadczenia. Przyszedł do mnie kiedyś kot z rozplywającym się okiem. Pisząc „rozplywające się”, mam na myśli rogówkę,

która jest konsystencji miękkiego masła i koloru oleju kokosowego. Początkowo w wywiadzie opiekun nieco mylił się w zeznaniach. Od razu było widać, że nie do końca mówi prawdę. Po kilku minutach nic niewnoszącej rozmowy postawiłam sprawę jasno, tłumacząc opiekunowi, że nie będę go oceniać, ale musi mi powiedzieć prawdę, gdyż jeśli się nie dowiem, co się wydarzyło naprawdę, nie będę w stanie pomóc jego kotu. Po chwili wahania opiekun powiedział mi, że kot wrócił z ogródka z zadrapaniami i bolącym okiem (podejrzewam, że doszło do walki z innym kotem). Po kilku dniach zadrapania się zagoiły, ale kot coraz bardziej pocierał sobie oko i mrużył je, pojawiły się obrzęk i wypływ. Żona opiekuna postanowiła zaaplikować kotu własne krople, które dwa tygodnie wcześniej zalecił jej okulista. I wtedy padła nazwa kropli, a dla mnie już wszystko było jasne. Kot prawdopodobnie miał niewielkie zadrapanie rogówki, ale jej stan znacznie pogorszyły te krople podawane przez kilkanaście dni bez konsultacji z lekarzem, zawierające w swoim składzie niepożądany tu akurat steryd. Oka nie udało się uratować.

Powyższe historie wskazują, jak ogromne ryzyko niesie ze sobą niewiedza. Dodatkowo do problemów poruszonych przeze mnie powyżej dochodzi jeszcze jedna kwestia: co w sytuacji, gdy po drugiej stronie monitora siedzi ktoś, kto celowo chce zaszkodzić twojemu zwierzęciu? Takie historie również znam. Nie wiem, jakie są motywy działania takich osób. Wiem tylko, że jedni dla rozrywki lub z innych powodów ładują gwoździe w kielbaski i rozrzucają je

w parkach, a inni robią to samo bardziej wyrafinowanie: siedząc przed monitorem i pisząc niebezpieczne brednie do ludzi szukających pomocy dla swoich zwierząt. Tacy ludzie są o tyle niebezpieczni, że potrafią podszywać się pod osoby kompetentne. Używają medycznych sformułowań, używają nazw handlowych preparatów i nazw substancji czynnych. Całą swoją działalnością starają się nakłonić ludzi, aby im zaufali.

Wisienką na torcie niech będzie historia z początku 2020 roku. Grupa na Facebooku: „Porady weterynaryjne”. Młoda kobieta wrzuca post zawierający zdjęcie i prośbę o pomoc. Zmiana skórna, nieowłosiona, znacznie zaczerwieniona, wielkości kilku centymetrów. Zdecydowanie wystająca ponad powierzchnię skóry. I pytanie: co to może być? Liczba diagnoz postawionych w komentarzach przeszła najśmielsze oczekiwania chyba każdego lekarza weterynarii, który śledził tę historię. Były *hot spoty*, wszelkiego rodzaju zmiany nowotworowe. Ropne zapalenia. Co więcej, były polecenia różnych leków, które opiekun powinien zastosować na tę zmianę. Podnosił na duchu jedynie fakt, że wśród wielu nieodpowiedzialnych komentarzy pojawiło się także sporo z zaleceniem wizyty w gabinecie weterynaryjnym. Dyskusja nad zmianą skórną trwała kilka godzin. Następnie ta sama kobieta wrzuciła na tę samą grupę post z informacją, że zdjęcie przedstawiało czerwoną landrynkę wczepioną w sierść psa, z informacją: „Tyle są warte te wasze porady weterynaryjne”. I wtedy rozpętało się piekło. Dziewczyna została zwyzywana, nazwana konfidentką, pisano do

niej prywatne wiadomości z życzeniami różnych chorób czy śmierci. Została posądzona również o bycie fejkowym kontem i wiele innych. Zero autorefleksji. Byłam zszokowana. Właściwie nie znajduję słów, aby opisać, co wtedy się działo w mojej głowie. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że był to najlepszy przykład, żeby uzmysłowić ludziom, jak bardzo nieodpowiednie (i nieodpowiedzialne!) jest to, co się dzieje na tej i na różnych innych grupach tematycznych. Dla niektórych być może było to zbyt ostre, zbyt dosadne. Forma prowokacji była dla niektórych nie do zaakceptowania, ale według mnie było to bardzo wymowne i przede wszystkim potrzebne. Jeżeli choć jedna osoba zrozumiała, jaką wartość ma (a właściwie nie ma) szukanie porad w sieci wśród nieznających się na tym w ogóle ludzi, to uważam, że było warto. Zaskoczyła mnie wtedy tylko jedna rzecz. To wiadro pomyj, które zostało wylane na autorkę posta. To była ogromna fala niepohamowanej agresji. Zastanawiałam się jakiś czas, co się takiego wydarzyło, że spora część ludzi zareagowała w ten sposób, i doszłam do przykrych wniosków. Żeby ktoś zareagował tak niewspółmiernie, trzeba mu odebrać coś naprawdę ważnego... Na przykład rację lub niespełnione marzenia.

To, co napisałam powyżej, nie znaczy, że należy zupełnie zaprzestać szukania informacji w sieci. W dobie dzisiejszych technologii wiara w to, że ludzie zaprzestaną takich praktyk, jest co najmniej naiwna. Gdzie zatem szukać informacji? I jakich informacji szukać? Przede wszystkim z wielką ostrożnością należy weryfikować źródła, z których czerpie

się wiedzę. Portale pseudonaukowe czy inicjatywy pojedynczych osób nieposiadających po temu kompetencji w coraz większych ilościach bez problemu można znaleźć w internecie. Żart, który jest stary jak pierwsza strona WWW, ale wciąż aktualny, mówi o tym, że jakkolwiek objaw wpisujemy w wyszukiwarkę, to i tak da nam ona odpowiedź, że chorujemy na raka. To samo dotyczy naszych zwierząt. W sieci liczą się hashtagi, klikalność i umiejętność pozycjonowania, a nie wartość merytoryczna. Dlatego warto szukać treści, które są tworzone przez specjalistów. Lekarze weterynarii prowadzą blogi, vlogi, profile na Facebooku i Instagramie, nagrywają filmy, które publikują na YouTube, nagrywają i publikują podcasty. Naprawdę jest z czego wybierać. Często na stronach internetowych konkretnych zakładów leczniczych dla zwierząt (gabinetów, przychodni czy klinik) znaleźć można artykuły wyjaśniające przebieg pewnych chorób. Z lekarzami weterynarii nie ma problemu, to bowiem, czy ktoś ma tytuł lekarza weterynarii, czy nie, można sprawdzić na stronie Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej¹⁶. Gorsze, niestety, są przeboje przy poszukiwaniu behawiorystów czy dietetyków. Te dwa zawody w żaden sposób nie są regulowane prawnie, a ich usługi są coraz bardziej popularne. Dlatego tym bardziej należy być ostrożnym w poszukiwaniu treści o tej tematyce. W takich sytuacjach warto zrobić rozróżnienie, czy treści udostępniane przez taką osobę mają pokrycie w badaniach naukowych (*evidence based medicine*, EBM).

¹⁶ WET Systems, [w:] <https://bit.ly/3oHf5XX>, dostęp 31.08.2020.

Problem jest jedynie taki, że zagłębiając się w tego typu obszary, musimy liczyć się z dużą czasochłonnością naszych poszukiwań. Dla najbardziej wytrwałych i znających nieco terminologię medyczną (a także najczęściej język angielski) pozostaje jeszcze szukanie u źródła, czyli śledzenie artykułów naukowych w bazach danych¹⁷. Czego nie warto szukać? Porad lekarskich wrzucanych na fora czy grupy. Leków na własną rękę. Dawek tych leków. Postępowania medycznego nieopartego badaniami naukowymi. Szamanów i samozwańczych specjalistów. Podejrzanych suplementów.

Na koniec tego rozdziału chciałabym wyraźnie zaznaczyć, że pozostawienie chorującego zwierzęcia bez pomocy jest niezgodne z prawem, gdyż zapewnienie mu odpowiedniej opieki (również weterynaryjnej) jest obowiązkiem wynikającym z Ustawy o ochronie zwierząt. To jest coś, co chciałabym, aby wiedział każdy, kto decyduje się na przyjęcie zwierzęcia pod swój dach.

¹⁷ Niestety, sama spotkałam się z praktyką, że za dostęp do artykułu naukowego trzeba zapłacić nawet kilkadziesiąt euro.